

70 LAT BUDOWLANKI

WSPOMNIENIE BYŁEGO UCZNIĄ

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku Technikum Budowlane Nr 1 (TB 1) mieściło się w kamienicy przy ul. Kilińskiego nr 79. Dziś, od wielu już lat, obiekt ten wykorzystuje Łódzka Akademia Muzyczna. W podwórzu znajdowały się warsztaty: ślusarnia, stolarnia, spawalnia i kuźnia, a na jego końcu placyk, który zapamiętałem jako miejsce trzepania kapci! Bo po szkolnych korytarzach i salach lekcyjnych, których podłogi wykonane były z pięknie utrzymanych, dębowych parkietów, wolno było chodzić wyłącznie w FILCOWYCH bamboszach. Raz w tygodniu (często robił to dyrektor szkoły OSOBIŚCIE) w drzwiach wejściowych dokonywano kontroli czystości owego obuwia. Każdy, czyje kapcie po walnięciu ich podeszwami o siebie wzbudziły obłoczek kurzu, maszerował na ów placyk i trzepał je aż do skutku!

W ogóle szkoła miała w sobie wiele z koszarowej atmosfery jednostki wojskowej. Uczniami byli niemal wyłącznie chłopcy (w SRB nie było ani jednej dziewczyny!), wszyscy mieli obowiązek przychodzenia do szkoły w granatowych mundurkach, (długie, spodnie z zielonym lampasikiem, marynarka, błękitna koszula i granatowy krawat), na lewym rękawie marynarki, ale także płaszcz lub kurtki - NASZYTA tarcza < TB1 > , a na głowie okrągła czapka z daszkiem i znaczkiem szkoły. Tę wojskową atmosferę umacniał powszechnie znany uczniom fakt, że jej dyrektorem był major Ludowego Wojska Polskiego w stanie spoczynku - Mikołaj Hałamejko. Dla mnie i moich kolegów z klasy Ia był on przede wszystkim nauczycielem matematyki. Surowym, wymagającym, preferującym radzieckie zbiory zadań, nauczycielem...

Proszę się nie dziwić, że późniejszy humanista nie poświęci więcej uwagi temu przedmiotowi i jego nauczycielowi. Wolę wspomnieć, z okazji tego jubileuszu, osobę, która owe humanistyczne zdolności we mnie, uczniu SRB, dostrzegła i umiejętnie rozwinęła – nie bacząc na notorycznie robione przez tego ucznia błędy ortograficzne... Była nią nauczycielka języka polskiego – pani mgr Wiktoria Kupiszowa. To ona przez te wszystkie lata stawiała mi z prac domowych i wypracowań, konsekwentnie, dwie oceny: pierwszą – zazwyczaj dwójkę – za ortografię, drugą – najczęściej piątkę – za treść. Ale przede wszystkim, to ona wobec mnie i trzech moich przyjaciół z tej samej klasy - dwóch Jurków i Janusza - stosowała daleko idącą indywidualizację procesu dydaktycznego. Polegała ona nie tylko na tym, że stawiała przed nami dodatkowe zadania i wymogi, ale przede wszystkim stosowała pozaszkolne bodźce stymulujące nasz ogólnokulturalny rozwój, inicjując nasze wizyty w teatrze, filharmonii, muzeum...

Dziś trudno w to uwierzyć, ale to Pani Wiktorii ja i moi koledzy zawdzięczamy, że byliśmy na przedstawieniu Teatru 13 Rzędów Jerzego Grotowskiego, gdy ten przyjechał do Łodzi i dał przedstawienie w pałacyku przy Piotrkowskiej. W czasach, kiedy jeszcze niewielu wiedziało kto to Henryk Tomaszewski – my widzieliśmy pierwsze etiudy jego Teatru Pantomimy... Do dziś mam w domowym archiwum program z koncertu w Łódzkiej Filharmonii, z autografem Wandy Wiłkomirskiej... I nie zdołałem wymienić wszystkich tytułów książek, które przynosiła nam ze swojej domowej biblioteki Pani Profesor. To z tego źródła czytałem książki Sartre'a („Drogi wolności”), jego żony Simone de Beauvoir („Mandaryni”) i wiele, wiele innych książek, niebędących przecież w wykazie lektur, zalecanych uczniom SRB...

Przygotowując się do pisania tych wspomnień uruchomiłem całe mnóstwo takich „fleszów” pamięci. Nie sposób wszystkie z nich tu przywołać. Poprzestanę na kilku z nich jedynie.... Pierwsza klasa - zajęcia na warsztatach. Wszystkie mieściły się w podwórku przy Kilińskiego. Ślusarnia – z obowiązkowym piłowaniem młotka, stolarnia – z niezapomnianym zapachem świeżo zestruganych wiórów i produkcją taboretów do szkolnych pracowni fizyko -chemicznych, kuźnia –

gdzie poznawaliśmy jak uległą wprawnej ręce kowala jest poddana obróbce cieplnej stal, i spawalnia – głównie z palnikami acetylenowymi, ale i stanowiskiem do spawania elektrycznego.

W drugiej klasie – barak przy ul. Wojska Polskiego, „przedszkole” murarzy. To tam, już nie teoretycznie a manualnie, biorąc do ręki prawdziwe cegły, uczyliśmy się układać je w murze, przez pierwszych kilka zajęć - „na sucho”, ale później już z użyciem słabo wiążącej zaprawy wapiennej, zgarnianej z cegieł do kalfasów na koniec zajęć. (Podobne rozwiązania stosują dziś w niemieckich Centrach Kształcenia Praktycznego) Murowaliśmy tak, ćwicząc - raz wiązania kowadełkowe, innym razem krzyżkowe, a i polskie także. I nie tylko w murze prostym, także narożniki, połączenia ściany nośnej z działową, układaliśmy też cegły w ścianie z otworami kominowymi. Najtrudniejsze były nadproża – oczywiście wykonywane z cegieł: te łukowe, ale także te proste... Mury także były różnej grubości: na jedną, półtorej i dwie cegły. A bywało, że grubsze także...

Po pierwszym półroczu przyszedł czas na murowanie, a po wzniesieniu murów – także tynkowanie, na prawdziwej budowie. Było to możliwe w ramach warsztatów szkolnych, które jako wykonawca, prowadziły budowy kilku prostych budynków gospodarczych (komórki, pralnie itp.) na posesjach administrowanych przez dzielnicowe ADM-y (Administracje Domów Mieszkalnych). Zajęcia warsztatowe mieliśmy trzy razy w tygodniu, pozostałe trzy dni – lekcje w szkole. (Nie było wówczas weekendów, sobota była dniem pracy lub nauki). Tak się złożyło, że budowy, które wykonywała moja grupa, pod kierunkiem nauczyciela zawodu pana Mieczysława Durki, prowadzone były na Nowym Złotnie (osiedlu gdzie mieszkałem) i do dziś efekty pracy moich rąk można tam oglądać pod trzema adresami.

Pierwsza budowa - to na początku wykop, w którym wylewaliśmy ławy fundamentowe. Wykop w jednym miejscu był dość głęboki, bo budynek miał służyć nie tylko jako komórki, ale także przewidziano tam ubikację, dla której trzeba było zbudować szambo. Już na samym początku poznawaliśmy techniki izolowania muru, kładzenia odpowiednich tynków, budowy stropów. I tak aż do dachu... Z maszyn budowlanych była tylko betoniarka, więc cegły i zaprawę dostarczało się własnymi siłami: nosidełkami i w kalfasach, a beton na strop nad pomieszczeniami – po prostu łopata: na „półpiętro” i dalej na kolejny poziom...

Jedna z tych budów była miejscem mojego egzaminu praktycznego, na zakończenie nauki w SRB. Wykonywałem tam, na ocenę komisji egzaminacyjnej, pochyłe zwieńczenie ściany szczytowej budynku w postaci tzw. „rolki”. Byłem tam nie tak dawno – jeszcze się nie rozpadło....

Na szczególne wspomnienie zasługuje jeszcze ten czas naszych zajęć praktycznych, w ramach którego wykonywaliśmy murarską część parkanu, ogradzającego posesję, na której mieścił się nowy budynek naszej szkoły. To tzw. „mur cyklopowy”, mur z nieobrobionych głazów (kamieni), które muszą być tak dobrane i ułożone względem siebie, aby utrzymać jednakową grubość muru i względnie równe jego lico. Aby osiągnąć nie tylko parametry technologiczne, ale także estetyczne, nauczono nas „boniowania” – to znaczy wykonywania wypukłej, wygładzonej spoiny, podkreślającej układ kamieni w murze. Jak nam się to udało – można jeszcze dziś obejrzeć i ocenić.

Akurat ta umiejętność, po 17-u latach, okazała się najbardziej przydatną w niecodziennej sytuacji, w której znalazłem się podczas pobytu w Szwecji. Okazało się, że jedyne pieniądze (i to od razu „w dewizach” - jak to wtedy określano), jakie w życiu zarobiłem dzięki kwalifikacjom zdobytym w SRB, to były korony zarobione na jednej ze szwedzkich farm w Skanii, gdzie zatrudniłem się przy renowacji ponad stuletniego budynku gospodarczego. Zbudowano go z głazów narzutowych, połączonych gliniano-paździerzową zaprawą. To właśnie te zwiertzałe przez dziesiątki lat przestrzenie między głazami wypełniałem współczesną zaprawą wapienno-cementową i wyprofilowywałem w wypukłe spoiny. Na koniec, po zatarciu cementem i wygładzeniu „na mokro”, malowałem je białą farbą. Efekt był piorunujący! Moim pracodawcą był pewien kupiec,

dzierżawiący ten obiekt, ale właścicielem farmy (jak sam się przedstawił) okazał się Andriej Tołstoj, autentyczny potomek rosyjskiego pisarza Lwa Tołstoja. I to on, zafascynowany jakością mojej pracy, zlecił mi, już na wykorzystywanej przez siebie części farmy, nazywającej się Sofilund (ponoć na cześć Szwedki o imieniu Zofia, z którą ożenił się trzeci syn hrabiego Tołstoja, także Lew Lwowicz Tołstoj, ale nie wiem czy to prawda) wybudowanie kilkudziesięciometrowego, cyklopowego muru oporowego. Taż za korony, oczywiście!

Jak widać – wspominam przede wszystkim zajęcia praktyczne. Z zajęć w szkole – z teoretycznych przedmiotów zawodowych - prawie nic w mojej pamięci nie zostało się. To najlepszy dowód, że nie byłem dobrym kandydatem na technika, nie mówiąc już o inżynierze budownictwa... A co z rolą „inżyniera dusz”? To niechaj oceniają inni. [...]

Fragment (od s. 39 do 40) okolicznościowego wydawnictwa rocznicowego, wydanego z okazji kolejnego jubileuszu szkoły: „ 70 LAT BUDOWLANKI”